

ALEŻ TA WIARA JEST GWAŁTOWNA!

Jesień 1112 – maj 1113

Grancey, położone na drodze do Châtillon, dziesięć mil na północ od Dijon, było wysuniętą placówką biskupów Langres, znakomicie usytuowaną u źródeł rzeki Tille, na linii działu wód płaskowyżu, bardzo blisko Księstwa Burgundii.

Obronę tej strategicznej placówki tradycyjnie zapewniali wielcy panowie z otoczenia biskupa. Przez swoją babkę ze strony ojca Bernard był skoligacony z rodem z Grancey, dziedzicznymi zarządcami (widamami) dóbr diecezji Langres. Rodzina posiadała lenna wokół Dijon i Montbard, jak również w La Chaume i Vannaire, a także bardziej na północ, w Lanty, nad brzegami Aube, w Villars-en-Azois. Robert Fossier, który znakomicie wyjaśnił te skomplikowane kwestie, podkreślił „rolę rodziny Saulx-Grancey w burgundzkiej ekspansji w kierunku Châtillon i Chaumont. Polegała ona na głębokim zakorzenianiu się w ziemi szampańskiej przy jednoczesnym pozostawaniu na służbie księcia”. Byli oni świadkami ważnych wydarzeń, takich jak chociażby poświęcenie Cîteaux w 1098 roku czy donacja na rzecz „Nowego Klasztoru” dwa lata później. Stawali jako arbitrzy w procesach wynikłych między ich panem a innymi siłami.

A jednak jesienią 1112 roku książę Hugon II rozpoczął oblężenie Grancey bronionego przez swojego naturalnego pana Reginalda. W historii rodziny tamtego stulecia jest to jedyny punkt zaczepienia. Powody takiego przebiegu wydarzeń są nam całkowicie nieznane, poza tym, że musiały być bardzo poważne. Wszystkie liczące się siły w okolicy zmobilizowały się wokół księcia, w tym także Têcelin Wędzony oraz jego synowie Gwidon, Gerard i Andrzej, kuzyni Reginalda z Grancey, Gauderyk z Touillon i pewnie kilku innych.

O przebiegu działań wojennych nie wiemy nic poza losami tego, który w nich nie uczestniczył, czyli Bernarda. A i to tylko z jednego źródła oraz jego pochodnych. Gotfryd z Auxerre napisał w swoich *Fragmentach*:

W czasie gdy [Bernard] spieszył do tego miejsca, by dotrzeć w dzień, który został mu wyznaczony, zaczął rozmyślać i miał znowu przed oczami obraz swojej matki. Przeniknęła go myśl, że zawiódł nadzieje, jakie w nim pokładała, że nie zrobił niczego dla tej, która z taką czułością go wychowała. Gdy ujrzał w pobliżu drogi kościół, zsiadł z konia, wszedł do środka i zapłakał gorzko, pograżając się w gorącej modlitwie. Później udał się na spotkanie...

Niezwykłe intensywnie pojawia się na tych stronach to, co Jacques Berlioz słusznie nazwał „obsesyjnym obrazem matki”, kobiety rozsądnej, wychowawczyni i wzoru chrześcijańskiego życia. Ciężko jej się pojawiać z tym większą siłą, że ona odeszła już na zawsze. Wilhelm z Saint-Thierry opowiada o tych przeżyciach w sposób liryczny: „W tamtych chwilach był jak ogień, który trawi las, jak płomień pokonujący góry” i zajmujący wszystko, co znajdzie się w pobliżu. W jednym z listów do swojej matki Léon Bloy scharakteryzował ze znanstwem ten typ wiary, który „despotycznie i absolutnie opanowuje człowieka”, a także udowodnił, jak bardzo może ona być brutalna i zdobywcza...

Obleżenie Grancey trwało nadal. Jeżeli wierzyć Gotfrydowi z Auxerre, w jego trakcie narodził się spór między Gauderykiem z Touillon a księciem Burgundii. Na tyle poważny, w każdym razie jak na warunki kosztownej operacji wojskowej, że wuj Bernarda uznał się za uwolnionego od jakichkolwiek zobowiązań wobec swojego pana: „Nie leży w mojej mocy mścić się na was, wiedźcie, że od tej pory zdejmuję tarczę z karku!”. Nie bardzo dostrzegając związek przyczynowo-skutkowy, ten sam biograf podkreśla, że trzech brataników natychmiast zrozumiało, iż sprawa ma drugie dno. Gauderyk z Touillon wymówił służbę tak nagle, by udać się do Cîteaux. Sprawcą całego zamieszania okazał się Bernard, który musiał pozostawać z wujem w porozumieniu. Nie oszczędzając koni, natychmiast udali się do Châtillon, by „przyspieszyć przygotowania do podróży” jednego z braci, który za Renem powinien w końcu być wolny od tego zaraźliwego szaleństwa.

Sam Bernard dotarł do Grancey inną drogą. Natychmiast rozmówił się z Gauderykiem z Touillon, któremu musiał powiedzieć o sprytnym intrydzie braci, a także o swojej woli sprzeciwienia się jej z tym większą energią, że cały spisek dość szerokie rozgałęził się w rodzinie. Długo miał mieć później za złe jednemu z braci ojca, Vilainowi z Aigremont, wówczas archidiakonowi

i dziekanowi Langres, a następnie biskupowi, marzącemu o jakichś fantastycznych godnościach dla swojego rodu. Bernard uważał go za „prawdziwego niszczyciela powołań”. Niecałe dziesięć lat później miał pisać do swojego młodego kuzyna Fulka, którego ten dziwny człowiek Kościoła również skłonił do porzucenia godności kanonika regularnego dla bardziej prestiżowej kariery świeckiej, bardzo długi list, informując go, że „ten stary wuj”, którego imię wzdraga się wymienić, „zechciał zagasić w nim niegdyś zupełnie nowy żar – *In me certe fervorem novitium extinguere voluit* – ale, dzięki Bogu, nie udało mu się to”.

Trzeba zatem było gwałtownie przeciąć ten spisek. „Gdy utwierdzili się w swoim wspólnym zamiarze wstąpienia do zakonu”, Gauderyk i jego siostrzeniec zdecydowali, by „pójść do ojca Bernarda i otwarcie powiedzieć mu o tych planach”. W ten sposób objawiła się rola brata matki jako pośrednika... O reakcji Tévelina nie wiemy nic. Biała plama, która pasuje do zwyczajowej nieobecności ojca w źródłach. Z braku lepszych danych trzeba sobie wyobrazić pewnego rodzaju rezygnację oraz nastrój tej wzruszającej chwili, gdy po raz pierwszy wychodzą na jaw pierwsze etapy tej wielkiej epepei wewnętrznej.

Pod oblężonym zamkiem w Grancey dochodzi też do zręcznego werbunku. „Bernard odnalazł swojego młodszego brata Bartłomieja, który nie był rycerzem, a ten natychmiast dołączył do brata i wuja”. Był najmłodszy z zebranego tam rodzeństwa, bo jeszcze młodszy Nivard musiał pozostać w Châtillon. Tego szesnasto- lub siedemnastoletniego wówczas chłopca – wiek impulsywnych zaangażowań – nie było nazbyt trudno zwerbować.

Dalszy ciąg, rzucający trochę światła na losy oblężenia, okazał się mniej prosty.

Andrzej, młodszy od Bernarda, ale starszy od Bartłomieja, pasowany jakiś czas temu na rycerza, został zatrzymany w tym zamku [Grancey]. Bernard poszedł do niego, wyjawiał mu plan swojego wstąpienia do klasztoru i zachęcał, by zrobił to razem z nim. Gdy tylko zaczął mówić, Andrzej wykrzyknął: „Widzę moją matkę!”. Bernard, jak gdyby nigdy nic, dalej namawiał go, by wstąpił do klasztoru. Ponieważ brat był jeszcze młody, dość dużo czasu zajęło mu przekonanie go. W końcu jednak Andrzej odpowiedział: „Zrób więc tak, aby żaden z naszych braci nie pozostał w stanie świeckim, albo przepołów mnie mieczem: nie chcę opuszczać ani ciebie, ani ich”.

W końcu jakiś ślad ludzkich uczuć. Nie sposób nie zauważyć ledwo wyartykułowanych oporów młodego szlachcica, przeżywającego chrzest bojowy.

Nawet jeżeli wojna wydawała mu się na pierwszy rzut oka odstręczająca, to wiedział przecież, że taka jest jej natura, że następnie przystąpi się do negocjacji nad powiększeniem jego majątku, że koniec końców przyszłość należy do niego. Dostrzegamy jednocześnie siłę klanowych powiązań oraz wyjątkową charyzmę Bernarda. Ten ostatni jest tak pewny siebie, że pyta „wstrząśniętego” Andrzeja o kilka szczegółów na temat tego, „co powiedział o ich matce. Andrzej potwierdza, że naprawdę ją widział nad głową Bernarda”. Wobec czego ten dopina ostatni guzik: „Możesz zatem być pewien, że nasza zakonna droga jest jej miła”.

Wyniki tego „połowu” pod murami Grancey są naprawdę cudowne. Najpierw jeden stateczny wujek. Potem brat Bartłomiej, z którym Bernard uporał się bez problemu. Następnie kolejny brat, Andrzej, stojący u progu wspaniałej kariery i przeżywający rozterki. Można się domyślać, że w tym osobliwym przedsięwzięciu zbiorowego wstąpienia do zakonu starsi bracia nie byli łatwym łupem.

Okoliczności drugiej „rodzinnej” ofensywy Bernarda są mniej jasne. Musiał przekonać dwóch starszych braci, Gwidona i Gerarda, zaraz po ich powrocie do Grancey.

Gerard był wówczas bardzo młodym rycerzem „biegle władającym mieczem, bardzo doświadczonego, niezwykle hojnym i kochanym przez wszystkich”. Zdaniem Wilhelma z Saint-Thierry jego reakcja była brutalna. Gerard surowo ocenił nieróbstwo Bernarda i kapitulację braci, które uznał za dowody słabości. Pozostawał głuchy na wszelkie argumenty młodszego brata, niewrażliwy na jego kaprysy, powiedział mu dosadnie, co o tym wszystkim myśli. Gotfryd z Auxerre, zapewne poinformowany o szczegółach przez samego Gerarda, ukazał Bernarda, jak wykrzykiwał w uniesieniu, „przepełniony proroczym natchnieniem”: „Wiem, że moje słowa nie dotrą do ciebie, zanim nie zostaniesz w tym miejscu przebity strzałą. Jeżeli nie umrzesz, będziesz wielce przerażony”. Mówiąc to, „położył rękę na boku swojego brata. Piętnaście dni później stało się tak, jak przepowiedział. Gerard, który rzeczywiście został ciężko ranny i wzięty do niewoli przez wrogów, krzychał, że jest mnichem z Cîteaux. Więziono go jednak w nadziei, że w ten sposób uzyska się pokój z jego krewnymi”. Wilhelm z Saint-Thierry precyzuje, że przebywający wówczas w Châtillon Bernard został powiadomiony o dramacie przez posłańca. Powstrzymał się przed jakąkolwiek interwencją – *sed non venit* – a kazał tylko przekazać uwięzionemu: „Powiedziałem ci przecież, że wierżganie przeciw ościeniowi – wspomnienie Ammiana Marcellina... – będzie dla ciebie miało poważne konsekwencje. Ta rana nie doprowadzi cię jednak do śmierci, lecz do życia”.

Bernard musiał też opowiedzieć o swoich planach najstarszemu bratu, Gwidonowi. Ten był już spełnionym mężczyzną, sławnym rycerzem, żonaty z młodą kobietą o imieniu Elżbieta, która dała mu dwie córki wówczas będące jeszcze w wieku dziecięcym. Ten wojownik, ojciec rodziny, nie należał do ludzi, których łatwo można przekonać do sprzeniewierzenia się obowiązkom wasala, porzucenia żony i dzieci, nawet w imię najwyższej sprawy. Bernard z kolei był człowiekiem pełnym uporu, który uważał, że wszystko można osiągnąć dzięki wierze i sile woli. Niemordowany prozelita wymógł w końcu na oszołomionym bracie „przysięgę, złożoną na honor z podniesioną prawicą, że pójdzie za nim, jeżeli otrzyma pozwolenie żony”. Gdy Gwidon w końcu złożył ostateczną przysięgę, Bernard powiedział: „Żeby cię pocieszyć, obiecuję ci, że jeszcze przed najbliższą Wielkanocą będziesz uwolniony od więzi, która łączy cię z twoją żoną, za jej zgodą czy nawet na jej prośbę albo w wyniku jej śmierci”.

Wszystko to wydawałoby się w złym guście, gdyby niedługo potem oniemiałego Gwidona żona Elżbieta nie poprosiła w sypialni „ze łzami w oczach o to, by [...] pozwolił jej na wstąpienie do klasztoru”. Wilhelm z Saint-Thierry nie bał się akcentów dramatycznych i dodał, że nieszczęsna zmożona była ciężką chorobą, która wkrótce miała przynieść jej śmierć. Wobec tego rozstanie nastąpiło bezzwłocznie, „zgodnie z prawem kościelnym”. Elżbieta złożyła ślub czystości i osiadła w klasztorze Larrey, w pobliżu Dijon, a następnie, dwa lata później, została pierwszą przeoryszą zgromadzenia benedyktynek w Jully. Klasztor ten został założony przez opata z Molesme, w pobliżu Nuits-sous-Ravière, i ulokowany w zamku odstąpionym przez hrabiego Milona z Bar, być może na prośbę Bernarda, „pod warunkiem że miejsce to będzie należało do zakonnicy”. Tym samym para opuściła dwie małe córki. Jedna, której imienia nie znamy, miała poślubić Bartłomieja z Sombernon. Druga, Adelina, wstąpi do położonego w diecezji Langres klasztoru w Poulangy, w którym umrze jako opatka...

Pozostaje „wciąż uwięziony w lochu” Gerard. Sprawa zafrapowała Gotfryda z Auxerre, który miał ją przywoływać jeszcze czterdzieści lat później w swoim kazaniu z okazji rocznicy śmierci Bernarda... Rana szybko się zagoiła. Więzień miał objawienia i opowiadał strażnikom, że zostanie uwolniony w ciągu kilku dni.

Był koniec wielkiego postu [1113 roku]. Niedługo później, uwięziony w podziemnej sali, uwolnił się z łańcuchów i ostrożnie skierował do drzwi. Były zamknięte. Gdy tylko dotknął zamka, ten zwolnił się i upadł do jego

stóp. Zaraz po tym, jak znalazł się na zewnątrz, podążył do kościoła wolnym krokiem, gdyż wciąż miał spętane nogi. Wyszedł mu wtedy na spotkanie jeden z rycerzy feudała, który go uwięził. Z daleka już zaczął pytać, dlaczego przybył tak późno. Nie brzmiał jak ktoś, kto chciałby go z powrotem wtrącić do więzienia; chodziło o to, że już było po mszy. Dodał: „Pospieszcie się. Pozostają jeszcze nieszpory”. Przed kościołem był stopień, zbyt wysoki, by mógł go bez niczyjej pomocy pokonać człowiek w kajdanach. Rycerz podał mu rękę i pomógł. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, gdyż był pozbawiony przytomności. Gdy dopomógł mu wejść na najwyższy stopień, odzyskał zmysły i wrzasnął: „Co tu się dzieje?”. Chciał zatrzymać Gerarda, ale na próżno.

Po powrocie do domu w Châtillon Gerard mógł ocenić poziom zaangażowania religijnego wywołanego przez młodszego brata. Do Gauderyka z Touillon dołączyło całe rodzeństwo. Gerard zamykał listę. Nie ma potrzeby rozprawiać o ich siostrze Hombelinie. To młoda kobieta. Można ją łatwo wydać za mąż za jakiegoś szlachcica, nie wykluczając jednak ewentualnych prób destabilizacji tego związku. Powiedzmy tu od razu, że około roku 1125 miała przekonać męża, by pozwolił jej wstąpić do klasztoru. Zmarła znacznie wcześniej od większości swoich braci, w klasztorze Jully, którego została przełożoną w roku 1128, po śmierci swojej bratowej Elżbiety.

Nie wdamy się tutaj w ocenę metod użytych przez Bernarda, gdyż wykracza to poza zadania historyka. Można za to podkreślić niezwykle tempo tego werbunku – trwał krócej niż sześć miesięcy, od jesieni 1112 do wiosny 1113 roku – a także jego bezceremonialność. Z gwałtownością typową dla osób nieśmiałych Bernard zastawił sidła na swoich czterech dorosłych braci, by poszli w jego ślady. Bez nadmiernych skrupułów usunął wszystkie przeszkody, w tym tak potężne i dotyczące spraw równie intymnych jak więzi małżeńskie i ojcowskie czy kwestia przedłużenia rodu. Możemy sobie tylko wyobrazić opory Gwidona i Elżbiety, furję Gerarda oraz cierpienia, jakim zostali poddani. Najmłodszego Nivarda miało czekać to samo...

W tamtym czasie niepoprawny Bernard rozszerzył swoją działalność na dalszy krąg osób: młodych mężczyzn ze sprzymierzonych rodów, znajomych i kolegów ze szkoły. Używał klasycznych, ale wymownych argumentów. Mówił „o nędznych radościach tego świata, życiowych troskach i szybkim zgonie”. Cel uświęcał środki. Lęk przemawiał do wyobraźni i pobudzał falę zbiorowych powołań u tych rekrutów z wyboru.

Gotfryd z Auxerre szczegółowo przytacza taki przypadek. Bernard spostrzegł, że zapomniał o jednym ze swoich przyjaciół, Hugonie z Vitry. Był to

również człowiek wysoko urodzony, ale w przeciwieństwie do poprzednich, był już duchownym. Inaczej niż inni, cieszył się w Mâcon doskonałą reputacją, mimo że obdarowano go poważnymi dobrami kościelnymi. Chodziło zatem o przeorientowanie istniejącego powołania na rzecz życia uważanego za bardziej świętobliwe. Bernard nie wahał się ani chwili. Gotfryd z Auxerre, który opowiada nam tę wyprawę od początku do końca, stwierdził, że „jego reputacja była już ustalona i [mówiono, że], wybiera się do Jerozolimy”. Pokazuje to, do jakiego stopnia w dziesięć lat po zdobyciu Świętego Miasta idea pielgrzymki zakorzeniła się w umysłach.

Gdy Hugon ujrzał przyjaciela, rzucił mu się z płaczem w ramiona. Kiedy Bernard opowiadał mu o swoich zamiarach, ten nie przestawał szlochać. Kiedy zapadł wieczór, „położyli się do tego samego łóżka, tak wąskiego, że ledwie się w nim mieścili. Płacz Hugona z Vitry był tak głośny, że Bernard nie mógł spać”. Nazajutrz, gdy Bernard zapytał przyjaciela o powody tego potoku łez, Hugon wyjaśnił: „Wczoraj płakałem nad tobą. Dzisiaj nad samym sobą!”. Na co Bernard odpowiedział: „Płacz jak najdłużej. Nie przestawaj. Nie ma niczego lepszego od tych łez”. Oburzenie kolegów tego młodego kleryka sięgało zenitu. Postanowili zakończyć całą sprawę, nie pozwalając, by ci dwaj mężczyźni ponownie się spotkali.

Ponieważ nie otrzymywał żadnych wiadomości od przyjaciela, Bernard udał się na synod, gdzie spodziewał się zastać Hugona z Vitry u boku zebranych pod gołym niebem biskupów prowincji. Gdy ci ujrzeli intruza, wiedząc o jego intencjach, „spojrzeli nań nienawistnym wzrokiem i próbowali przeszkodzić mu w dotarciu do Hugona”. Bernardowi udało się jednak prześlizgnąć. Skoro nie mógł z nim rozmawiać, to ograniczył się do „gorzkiego zapłakania na jego ramieniu”. Jakby dla nadania większej wymowy całemu zdarzeniu, zaczął nagle padać ulewny deszcz, który spowodował, że zebranie zostało rozwiązane, i zmusił uczestników do szukania schronienia w pobliżu. Bernard

chwycił wtedy swojego przyjaciela za rękę: „Pozostaniesz ze mną na deszczu”, wysapał. Stali więc tak w polu, aż chmury się rozstały. Hugon oznajmił, że obiecał, iż nie zostanie mnichem przed upływem roku. Miał to być rok próby. Chodziło też o wprowadzenie księży w błąd. W ten sposób doszli do całkowitego porozumienia. Możemy ich sobie wyobrazić, jak stoją, trzymając się za ręce. Wszyscy byli w rozpacz. Ale nikt nie próbował już zwieść Hugona [z obranej przez niego drogi].

Działania Bernarda nie były pozbawione konsekwencji. Prozelityzm tego rodzaju, uprawiany publicznie i prywatnie, budził poważne obawy. Wśród arystokracji narastał gniew. Wilhelm z Saint-Thierry zauważył: „Matki cho-

wały swoich synów, żony powstrzymywały mężów, przyjaciele nawzajem się pilnowali”. Widać wyraźnie, że dla wielu rodzin jesień i zima 1113 roku to okres strachu i niepokoju.

Plony były jednak poważne. Choć nie znamy imion większości nowicjuszy – podobno było ich około trzydziestu – to wiemy coś o tych najwyżej urodzonych. Wśród najbliższych, poza braćmi, był też Gotfryd z La Roche-Vanneau, późniejszy biskup Langres. Inny, Robert z Châtillon, miał się następnie stać przyczyną pewnych kłopotów. Oprócz brata matki, Gauderyka z Touillon, którego żona wniosła do małżeństwa posiadłości lenne, a następnie wstąpiła do żeńskiego klasztoru w Molesme, trzeba dodać jeszcze jednego wuja, Milesa z Montbard. A także Hugona, później zwanego „ubogim”, syna Rainarda z Montbard; Gotfryda z Aigny, genialnego architekta, Artolda, przyszłego opata Preuilly. A może i Arnolda, w późniejszym czasie opata Morimond.

Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, co oznaczał odpływ ludzki na tak dużą skalę. Na podstawie tej dziesiątej części faktów, które są nam znane z niezmiennie doskonałego źródła, możemy wnioskować na temat zdarzeń, o których milczą kronikarze. Wydrenowano kwiat arystokracji, co musiało pociągnąć za sobą nieuchronne konsekwencje. Większość żon „powołanych” rycerzy i feudałów znalazła zapewne schronienie w klasztorach, wzorem bratowej Bernarda, Elżbiety, czy jej ciotki, kasztelanki z Touillon. Niezwykle ścisłe powiązania rodowe, wraz z właściwym im bagażem solidarności i potęgi gospodarczej, będą miały duże znaczenie dla tej przygody duchowej, która winna przecież polegać również na zakładaniu nowych zgromadzeń...

Całe to towarzystwo stopniowo gromadziło się we „wspólnym domu” w Somberton, na zachód od Dijon. Możliwe, że były to włości któregoś z powołanych: jedna z córek Gwidona miała dołączyć do tej rodziny... Rozmawiali o przyszłości. Tych kilka miesięcy odosobnienia wystarczyło niektórym z nich, by się przekonać, że przecenili swoje zdolności umartwiania się. Dwóch z nich powróciło „do świata”. Inni kandydaci do klasztoru musieli w dosyć krótkim czasie (nawet jeśli założymy, że wstępowanie do klasztoru to proces, który może potrwać kilka miesięcy) załatwić pilne kwestie majątkowe, *negotia*. Gauderyk z Touillon pozostawił swoje włości synowi Walterowi. To pewnie też wtedy Miles z Montbard подарował wieś Poilly opactwu Molesme.

Pod koniec maja 1113 roku Bernard był gotowy. Źródła mówią, że towarzyszyło mu ponad trzydziestu ochotników – *cum sociis amplius quam triginta*. Nie pojechał z nimi Robert, którego uznano za jeszcze zbyt młodego. Odjeżdżając, Gwidon miał powiedzieć Nivardowi, najmłodszemu z rodu Fontaine: „Wszystko to jest twoje!”. Na co dziecko odparło: „Co?! Zabieracie

niebo i zostawiacie mi ziemię! Podział nie jest sprawiedliwy!” Têcelin starał się robić dobrą minę do złej gry. W końcu dał synom ostatnią radę, by „wszystko robili z umiarem. Znam was dobrze – powiedział. – Nic, albo niewiele rzeczy może ochłodzić wasz zapał”.

Kilka dni później – być może zatrzymali się etapem na zamku Fontaine – przybyli do Cîteaux, gdzie opat Stefan Harding zgotował im serdecznie powitanie. Bernard miał dwadzieścia dwa lata.